NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 98·80 Marek, Półrocznie 199·60 Mk. Rocznie 399·20 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 8 Marek.

Rok XVII. Kraków, 23. października 1920. Nr 43.

Wilno w rękach Polaków!...



Entuzyastyczne przyjęcie wojsk jenerała Żeligowskiego na ulicach Wilna.

Wilno w rękach Polaków!..

(Do illustracyi tytułowej).

„W Imię Ojca, Ducha, Syna...
To nasza modlitwa:
Jako Trójca tak jedyna
Polska, Ruś i Litwa!“...

Słowa te wypowiedział przed laty, jeżeli się nie mylimy, wybitny publicysta lwowski ś. p. Platon Kostecki, który choć *gente Ruthenus*, był przecież gorącym i szczerym polskim patryotą.

Ze ziemie, które zamieszkują Litwini i Rusini, do nich należały, temu nikt nie zaprzecza, ale też każdy musi przyznać, że to, czem dziś są, mają do zawdzięczenia jedynie Polsce i ścisłemu z nią związkowi. Kultura Zachodu, idąca przez Polskę, przyczyniła się do obudzenia samowiedzy narodowej w Litwinach i Rusinach, w własnych też, dobrze zrozumianych interesach powinni dążyć nie do zerwania, ale raczej do jeszcze silniejszego z nią zespolenia.

Bo i czemże będzie Litwa, chócby nawet uzyskała samodzielność?... Mocarstwem nigdy nie będzie, musi się starać o szukanie oparcia o któregoś z potężnych sąsiadów. A pocóż jej szukać nowych Bogów, gdy w dawnym naturalnym związku, nikt jej praw nie odmawiał. Nowy, sztuczny związek podyktowany będzie jedynie interesem i to nie Litwy, ale tej strony, która jej separatystyczne dążenia podsyca. Już dziś spotykamy się z wyrażeniem, że „wyłazi angielskie szydło z litewskiego worka“. Prasa angielska jest niezadowolona z umowy polsko-rosyjskiej, mocą której dostały się Polsce terytorya, na których eksploatacyę lasów przyznał Anglii rząd kowieński.

Jeśli chcianoby zastosować zasadę samostanowienia narodów o swym losie, o Wileńszczyznę bylibyśmy spokojni. Jej ludność zbyt często i głośno manifestowała zawsze swą przynależność do Polski.

Niestety, innego zdania są decydujące czynniki koalicyjne, liczące się zawsze tylko ze swym własnym interesem, a lekceważące interesy tych, których los w grę tu wchodzi. Koalicya ma zamiar przyznać Wilno Litwie, co spotkało się z protestem nie tylko narodu polskiego, ale i ludności, zamieszkującej terytorya, mające być od Polski oderwane. Świadectwem tego jest krok rozpaczy ale prawdziwie męski, uczyniony przez jenerała Żeligowskiego i jego dywizyę litewsko-białoruską.

Dywizya ta, składająca się z ochotników litewskich i białoruskich, stanęła ochoczo do walki z sowiecką nawałą, aby kraj swój uwolnić z pod przemocy wroga i połączyć z Polską, z którą Litwa tyle wieków przeżyła w wspólnej doli i niedoli. Niestety, spotkało ją przykre rozczarowanie. Rozejm z Rosyą zawarty, w Wilnie rozsiedli się zbolszewizowani Litwini, wrogo wobec Polski usposobieni. Oni tak są blisko swych sadyb, a tak przecież daleko, dzień każdy przynosi im wieści o gwałtach, jakich się tam dopuszczają na ich najbliższych!... Wyczerpała się ich cierpliwość. Nie mogąc się doczekać spełnienia swych marzeń, postanowili działać na własną rękę, w nadziei, że z faktem dokonanym będą się musiały liczyć i decydujące w tej sprawie czynniki.

Nie był to zatem bunt, za jaki go chciały przedstawić komunikaty, ale dzieło rozpaczy polityków litewskich i białoruskich, widzących przyszłość swą tylko w ścisłym związku z Polską.

Powstała zatem na razie „środkowa Litwa“, a tym, który ją stworzył, jest jenerał Żeligowski. Nazwisko jego otoczyła już przedtem aureola niespożytej sławy. Odcięty w południowej Rosyi przez bolszewików od łączności z Kijowem, potrafił się przecież przebić przez ich zastępy i stanąć na północy w szeregu obrońców zagrożonej Ojczyzny. — Wkroczenie wojsk jenerała Żeligowskiego do Wilna i utworzenie tamże przezeń rządu prowizorycznego, spotkało się z entuzyastycznem przyjęciem miejscowej ludności. W Wilnie, oswobodzonym od bolszewików i sprzymierzonych z nimi przedstawicieli rządu kowieńskiego, odżyły napowrót nadzieje. A ludność ta nie żąda wiele. Chce tylko, aby jej pozwolono wypowiedzieć się śmiało do kogo chce należeć. Nie chce być martwym przedmiotem, który się przydziela temu lub owemu, ale domaga się prawa stanowienia o swym losie i wypowiedzenia głośno, że przyszłość swą widzi tylko w nierozerwalnym związku z Polską.

Męski krok jenerała Żeligowskiego spotkał się w całej Polsce z należytem uznaniom. **Wilno jest polskie i musi polskiem pozostać!...** rozbrzmiewa dziś po całym naszym kraju, oświadczył to także i prezydent ministrów Witos, zaznaczając wyraźnie w Sejmie, że Polska nie zrzeknie się nigdy swych praw do Wilna.

Prasie koalicyjnej, nie zawsze dla nas życzliwie usposobionej, zajęcie Wilna daje sposobność do napaści na rząd polski, jakoby to stało się za jego wiedzą i wolą. Rząd polski nie miał w tem nic wspólnego, był to akt otwartego i śmiałego wypowiedzenia się woli ludu, żądającego sprawiedliwości.

Jenerał Żeligowski stał się bohaterem dnia, zyskując sobie uznanie i wdzięczność całego polskiego społeczeństwa. Nazwisko jego na kartach dziejów polskiego Wilna zapisało się złotemi głoskami. Oto Litwin, myślący i czujący po polsku, powolny może w słowach, ale szybki w decyzyi i czynie, a tak przewidujący, iż, aby rządu polskiego na ataki Koalicyi nie narazić, złożył przedtem swą godność w armii polskiej, dając w ten sposób do zrozumienia, iż sam tylko odpowiedzialnym jest za swój krok stanowczy.



Wilno w rękach Polaków!... : Oswobodziciel Wilna jenerał Żeligowski, dowódca ochotniczej dywizyi litewsko-białoruskiej.

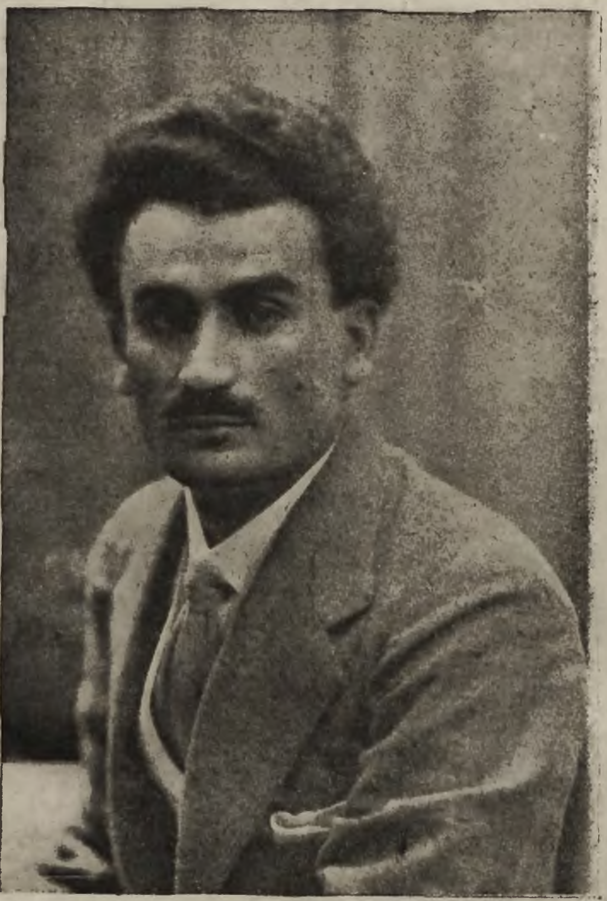


Wilno w rękach Polaków!... : Ogólny widok Wilna

Powrót z niewoli rosyjskiej.

Sprawa powrotu jeńców wojennych do kraju, nie jest jeszcze ostatecznie załatwiona. Żołnierze narodowości polskiej, wchodzący w skład armii mocarstw centralnych, walczyli właśnie na trzech frontach: rosyjskim, francuskim i włoskim. Na każdym z nich spora ich liczba dostała się do niewoli, najwięcej na froncie rosyjskim. Tysiącami pędzono ich w głąb Azyi, tysiące ich tam zginęły śmiercią prawdziwie męczeńską, tysiące wracały już do kraju, ale i tysiące jeszcze czekają na wyzwolenie, niejednokrotnie tak odcięte od reszty świata, że trudno im dać o sobie znak życia swym najbliższym, którzy nieraz już opłakali ojca, syna lub brata, gdy on tymczasem żyje i czeka tylko sposobności powrotu do swoich.

Z głębi Azyi przybywają do Europy jeńcy, którzy się dostali do niewoli rosyjskiej na początku wojny, w roku 1914; znieśli szczęśliwie wszystkie okropności tymczasowego pobytu w kraine lodu i śniegu i teraz dopiero, nieraz nawet wcale za-



Powrót z niewoli rosyjskiej: Por. Antoni Cichoń, A. Ciconi), tenor oper włoskich, wzięty do niewoli rosyjskiej w r. 1914.

sobnie, powracają na łono rodziny, witającej ich, jakby zmartwychwstałych. Niejednokrotnie też daje to powód do dramatów rodzinnych, jak naprzykład ostatni pojedynek amerykański w Warszawie, który pociągnął za sobą śmierć p. S. K.

Lata całe miną, nim skończy się ta nowoczesna wędrówka narodów, wiele jeszcze czeka nas niespodzianek, ale i wiele zawodów, gdyż niejedna rodzina pociesza się ciągle myślą, że zaginiony jej członek lada dzień wróci, gdy on tymczasem jest już tam, skąd się nie wraca...

Jednym z tych szczęśliwych, któremu po sześciu latach niewoli rosyjskiej udało się nareszcie powrócić do kraju, jest śpiewak Antoni Cichoń, tenor oper włoskich. Tego już dawno wykreślono z listy żyjących, rozeszła się bowiem wieść, że padł śmiercią bohaterów na wschodnim froncie w dniu 18-go grudnia 1914 r. Ten i ów zapalił jego zgon przedwczesny, a on, odcięty od świata cywilizowanego, pędził tymczasem w Taszkiencie (Turkiestan) gorzkie dni niewoli, aż wreszcie udało mu się rozpocząć powrotną odyseę. Trwała ona całe miesiące, przeszedł przez piekło bolszewickie, jak sam powiada, tieraz „bardzo cienko śpiewał“, udało mu się przecież po usunięciu wszystkich przeszkód stanąć na ziemi rodzinnej, do której całe lata tak tęsknił.

Poszedł na wojnę jako Polak, Antoni Cichoń, zmartwychwstał jako Włoch, Antonio Ciconi (jego pseudonim artystyczny).

Nie pierwszy on i nie ostatni. W jego ślady pójdzie jeszcze wielu, których stratę dawno już opłakaliśmy, a może nawet zapomnieliśmy o nich.



Wilno w rękach Polaków!..: Ogólny widok Kowna, obecnej siedziby bolszewickiego rządu litewskiego po ustąpieniu z Wilna.



Wilno w rękach Polaków!..: Część Wilna położona nad rzeką Wilią.

Uroczystość strażacka we Lwowie.

Lwów święci stale dzień 29. września, jako uroczystość św. Michała, patrona byłego Księstwa Galicyi i Lodomeryi. Przed laty, gdy na fotelu prezydyalnym zasiadał ś. p. pan Michał Michalski, hucznie było wtedy i na ratuszu i w Strzelnicy. Na cześć prezydenta wychylano niejeden toast, życzenia sypały się jak z rogu obfitości.

I po zgonie ś. p. Michalskiego dzień św. Michała został i nadal świętem lwowskiego mieszczaństwa, a jest niem też, gdy Galicya z pod jarzma austryackiego weszła w skład niepodległej i zjednoczonej Polski.

Po raz pierwszy mógł Lwów w tym roku w warunkach możliwie sprzyjających obchodzić uroczystość swojego Patrona, raczej zaś Patrona Halickiej Rusi.

Na zbyt głośne święcenie tego dnia nie pozwalały stosunki. Jakoś dziwnie wyglądałaby zbyt huczna zabawa stolicy w tym czasie, gdy na froncie śmierć zbiera ciągle tak obfite żniwo, a zwłaszcza krew naszych ojców i braci leje się strumieniem. Zresztą i sam Lwów miał zaledwie czas na ochłonięcie z tego przykrego nastroju, w jaki go wprawiły czerwone hordy Budiennego.

Ta gniotąca zmora minęła już bezpowrotnie, sposobność więc pożądana, aby świętemu patronowi podziękować za opiekę i ocalenie.

W dniu tym, w szeregu różnych innych uroczystości, odbył się doroczny popis miejskiej Straży pożarnej, która zwłaszcza w czasie wojny zapisała się bardzo dodatnio w dziejach nadpełtwiańskiego grodu. I jej wojna dała się we znaki. Wystarczy zaznaczyć, że dawny stan jej, wynoszący około stu ludzi, dziś ograniczyć się musiał do zaledwie trzydziestu. Mało ich, to prawda, ale pełnią zato służbę ze zdwojoną energią, a dowodów tego dali dosyć!

W dniu 29 września b. r. odbył się w podwórzu budynku m. Straży pożarnej w obecności Prez. Neumana i kilkunastu radnych, jakoteż licznie zebranej publiczności popis straży pod komendą naczelnika p. K. Szpaczyńskiego, a kierownictwem sierżantów J. Mandla i Ign. Presslera. Popis wypadł doskonale. Po ukończeniu ćwiczeń przemówił



Uroczystość strażacka we Lwowie: Prezydent miasta Neuman wręcza krzyże zasługi odznaczonym strażakom.

do straży ustawionej w ordynku prez. miasta Neuman, podnosząc trudne warunki, wśród jakich szczupły jej zastęp czyni wszystko, by sprostać swym zadaniom. Za tę sumienną pracę, a zwłaszcza za ofiarny udział podczas akcyi ratunkowej w czasie wybuchu amunicyi dn. 5 marca 1919, wręczył prez. Neuman krzyże zasługi: naczelnikowi straży pożarnej Kazimierzowi Ciećkiewiczowi, obecnie służącemu w wojsku, zastępcy tegoż Kazimierzowi Szpaczyńskiemu, starszym sierżantom Jakóbowi Mandlowi, służącemu przy lwowskiej straży pożarnej 35 lat, Ignacemu Presslerowi, służącemu 33 lat, Janowi Hanczakowskiemu, służącemu 25 lat i Piotrowi Sahlingowi, służącemu 33 lat, kapralom Stanisławowi Kowalczukowi, Mieczysławowi Witwickiemu, Janowi Domiszewskiemu i Janowi Przybyłowiczowi, oraz strażakom Franciszkowi Bernackiemu i Rudolfowi Zielińskiemu. Słowami zachęty, by miejska straż pożarna i nadal wzorowo spełniała swe obowiązki, jakoteż zapewnieniem, że zarząd miasta nie zapomni o poprawie ich bytu, zakończył prez. Neuman swe przemówienie.

Popis zakończył się próbnym alarmem, w którym straż złożyła nowy dowód swej sprawności.

Wszechniemcy protestują.

Niemcy pomimo swej porażki militarnej, w życiu politycznem Europy odgrywają przecież stale poważną rolę. Nie są to przecież te Niemcy, które lat temu zaledwie kilka wstecz, dyktowały światu swą wolę, zbladła ich gwiazda, ale mimo to nie straciły nadziei, że wrócą jeszcze do dawnego znaczenia, a z ulubioną dewizą ich byłego cesarza *sic volo, sic jubeo* każdy się będzie musiał liczyć.

O tyle tylko zawiesili obecnie swą taktykę, że, gdy dawniej walczyli groźbą, dziś miejsce jej zajęła intryga.

Wszechniemcy nie stracili dotąd nadziei, że zapanują nad światem, a połączyliby się nawet z dyabłem, nie tylko z bolszewikami, gdyby wiedzieli, że ich to doprowadzi do celu. Zachłanność niemiecka nie ma granic, o pochodzie na Wschód i Południe nie zapominają. Na razie cała ich działalność skierowaną jest w stronę Śląska Górnego, który ratują przed „polskiem niebezpieczeństwem“, pamiętają nadto i o innych okolicznościach, gdzie interes niemiecki mógłby być na szwank narażany.

Takim terenem jest dla nich np. Karyntya, gdzie miał się odbyć plebiscyt. Choć nie jest ona częścią Rzeszy niemieckiej, a i Austrya, w której skład wchodziła, do niej nie należy, zostanawiali się nad jej losem. Przed niedawnym czasem odbył się w Lipsku, na Placu Augusta, masowy wiec przy udziale kilkudziesięcio-tysięcznych tłumów, na znak protestu przeciw, jak sami się wyrażają, „gwałtowi górnośląskiemu“ i w sprawie Karyntyi.

Wygłoszono liczne mowy, odbył się potem pochód demonstracyjny przy śpiewie pieśni patryotycznych i dźwięku orkiestry, aby głos woli ludu niemieckiego tem silniejszem odbił się echem, zwłaszcza w Londynie, który stale lituje się nad niemieckimi patryotami, uważając ich dziś za „ofiary losu“. Lloyd George zrezygnował nawet, jak można wnosić z jego zachowania się wobec Niemiec, z pociągnięcia ex-cesarza Wilhelma do odpowiedzialności sądowej za wywołanie wojny, na której Anglia wyszła jak najlepiej.

Konkurs artystyczny.

Pragnąc wśród ogółu pogłębić zrozumienie ważności **posiadania morza** dla Polski i uwagę społeczeństwa skierować na kresy pomorskie, Biuro Propagandy Wewnętrznej przy Prezydyum Rady Ministrów zamierza wydać ozdobny, barwny (litograficznym sposobem) plakat (odezwę) w rozmiarach najwyżej 36—50 cm.



Uroczystość strażacka we Lwowie: Grupa członków miejskiej Straży pożarnej. z zastępcą nacz. K. Szpaczyńskim, (X) ozdobionych krzyżami zasługi.

W tym celu Biuro Propagandy Wewnętrznej ogłasza konkurs na projekt obrazu, któryby w sposób artystyczny, a dla szerokich sfer zrozumiały unaoczniał (symbolizował) znaczenie morza. (N. b. W dole plakatu zamieszczony będzie odpowiedni tekst).

Pp. artyści, którzy zechcą wziąć udział w konkursie, mogą zamiast wykończonych prac, nadesłać tylko szkice, tak jednak wykonane, aby można było ocenić pomysł i sposób wykonania.

Zaleca się użycie tylko trzech, najwyżej czterech kolorów.

Nagrody wyznacza się w kwocie 5000, 3000 i 2000 Mrk.

„Biuro Propagandy Wewnętrznej“ zastrzega sobie także możność zakupienia prac nie nagrodzonych. Sąd konkursowy stanowią kierownicy Biura wespół z artystami, których nazwiska będą podane do wiadomości. Pp. artyści, którzy uzyskają nagrodę, biorą na siebie zobowiązanie, że wykonają (za osobnem wynagrodzeniem) rysunek na kamieniu i czuwać będą nad reprodukcyą.

Prace artystyczne mogą być nadsyłane imiennie lub bezimiennie, w tym drugim wypadku winny być opatrzone godłem i dodana winna być zaklejona koperta, zawierająca nazwisko twórcy.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 października. Adres: Biuro Propagandy Wewnętrznej przy Prezydyum Rady Ministrów w Warszawie.



Wszechniemcy protestują: Masowy wiec w sprawie Śląska Górnego i Karyntyi na Placu Augusta w Lipsku.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

14

I.

— Postarasz się o pozwolenie czynienia poszukiwań na cmentarzach?

— Nie wierzę, aby ta kobieta nie żyła — wyrzekł Robert z silnem przekonaniem.

— To źle, mój kochany — odparł zimno profesor.

— Cóż pan chce, profesorze, kiedy uwierzyć w to nie mogę, powtórzył z uporem młody człowiek.

— To jest szaleństwo.

— Każdy z nas nosi je w sobie — nieprawdaż?

— Wybierz sobie inne jednak, moje dziecko. To szaleństwo doprowadzić cię może do ruiny. Kto wiedzieć może gdzie i odkąd, nieszczęśliwa ta kobieta spoczywa na jakim dalekim, nieznanym cmentarzu? Nie trać-że więc Robercie czasu i pieniędzy, dla podobnej mrzonki!

— Mrzonka ta istnieje, profesorze! Ta kobieta żyje!

— Jeżeli dobrowolnie chcesz się oszukiwać, czyń jak chcesz się oszukiwać, czyń jak chcesz. Ale wierz mi, będziesz szedł za fałszywym śladem. Zadasz sobie wiele trudu i wydasz wiele pieniędzy naprożno, a może nawet przyciągniesz do siebie jakie niebezpieczeństwo. Dla mnie ten ostatni punkt jest najważniejszy, bo wiesz mój chłopcze jaką cię otaczam życzliwością.

— Wdzięczny za nią jestem, kochany profesorze! Ale nie lękam się niczego! Jestem młody i zdrów i wierzę, że tę kobietę odnaleść muszę!

Profesor Amanti uśmiechnął się pobłażliwie, jednakże nie bez domieszki pewnej ironii.

— Mój drogi, człowiek poświęcający się nauce nie dziwi się niczemu. Ale Robercie! posłuchaj mnie! ta kobieta nie żyje!

— Pan jest zupełnie pewnym, że się nie myli, profesorze?

— Pewnym! pewnym! — mruknął profesor niechętnie. — Czy można być czegoś zupełnie pewnym w życiu? Jednakże przypuszczanie, że ta kobieta żyje, jest bardzo słabe i nie oparta na żadnych podstawach.

— Nie spocznę jednak, aż sam przekonam się naocznie — upierał się ciągle Robert.

— Czyń więc jak chcesz, moje dziecko — wyrzekł z rezygnacyą profesor. Co więc zamierzasz uczynić?

— Niewiem jeszcze. Nie mam dotąd ułożonego planu.

— Czy mogę ci być w czem pomocnym?

— Pan zawsze może mi być pomocnym, profesorze. Nie uczynię ani jednego kroku, aby się pana nie poradzić.

— A jeżeli wyjedziesz?

— To pisać będę.

— Posłuchaj mnie Robercie. Czy nie uważasz, że najkonieczniejszą rzeczą jest, umieścić tę rękę w pewnem miejscu.

— Tak, myślałem już o tem. Ale nie chcę mieć nic do czynienia z władzami.

— Zgadzam się z tobą. Obmyśl więc coś stosownego.

— Zostawię ją u siebie, profesorze.

— Będą chcieli ci ją odebrać.

— To ją bronić będę!

— Możesz zostać zwyciężonym! twoi przeciwnicy podejść cię mogą podstępem, lub siłą — przekonasz się!

— Wiem o tem. Będę silniejszym i bardziej przebiegłym niż oni.

— Kto to wiedzieć może? Kto wie z jakimi ludźmi mieć będziesz do czynienia? Być może, że jeden tylko człowiek dopuścił się tej zbrodni i być może również, że ma kilku wspólników.

— Choćby to był sam dyabeł, walczyć z nim będę! — zawołał Robert, unosząc się.

— Robercie! zastanów się jeszcze! prosił profesor, ukrywając pod pozornym spokojem wzruszenia, jakie go ogarnęło. Co za przyczyna pcha cię tak na ślepo, do tej niebezpiecznej walki?

— Ależ to cel dla mnie niezwykły! zajęcie, ciekawość — wyrzekł Robert, potrząsając energicznie głową. — A zresztą mówiłem wam już, profesorze, jestem zakochany w tej niezwykłej ręce!

— Odbiorą ci ją!

— Zabić mnie wpierw mogą!

— A czyby nie można zabezpieczyć jej w inny sposób? — zapytał po chwili milczenia profesor.

— W jaki?

— Poczekajno, mój kochany! Ty masz przecież willę swoją własną w Milanie, o ile sobie przypominam?...



Przed samym podjazdem willi dojrzał stojącego kataryniarza....

— Tak, i dwoje oddanych mi służących — męża i żonę.

— Nie starych jeszcze?

— Nie! Młodzi są jeszcze i zdrowi.

— A więc zawieź tam tę skrzynkę. Byłbym ci zaproponował, abyś ją zostawił u mnie — ale...

Oh! nie! nie — przerwał szybko Robert.

— Ale — ciągnął dalej profesor — dom mój nie jest bardzo pewnym. Służący mój jest stary... Ja zaś wydalam się z domu, codziennie na kilka godzin...

— A „tamci" — zaśmiał się swobodnie Robert — wiedzą już, że znajduje się tutaj w tej chwili razem ze skrzynką.

— Tak sądzisz?

— Jestem o tem przekonany.

Mówiąc to Robert, zbliżył się do jednego z dużych okien laboratoryum, które wychodziło na obszerny park willi Feru.

Przed samym podjazdem willi dojrzał stojącego kataryniarza z głową wzniesioną ku oknom willi profesora. Był to starzec o długiej, siwej brodzie, o wytartem, zniszczonem ubraniu. Miał wygląd człowieka zmęczonego, ale dostrzegłszy widocznie sylwetkę Roberta za szybą okna, wyprostował się szybko i grać począł. Smutny dźwięk aryi z Hernani'ego, głuchy, zduszony, rozległ się wokoło.

— Ten człowiek jest szpiegiem — rzekł Silvio Amanti, który pospieszył za Robertem do okna.

— Widocznie — odparł młody człowiek, brwi marszcząc.

— Postarajmy się go wybadać!

— To będzie bezużyteczne. Albo zniknie nam z oczu zanim zdołamy zejść, albo też zbędzie nas milczeniem. Widzi więc pan, kochany profesorze, że ręka tu pozostać nie może. Pod jakim bądź pozorem, ktokolwiek wcisnąć się może do domu i szkatułka zostanie ukradzioną. Nie chcę zatem naruszać waszego spokoju profesorze, a może nawet bezpieczeństwa.

— W hotelu będziesz również narażony na niebezpieczeństwa — zauważył Amanti.

— A więc wyjadę.

— I to jaknajspieszniej, w dyskretny sposób...

— To się rozumie. Pozostawię część moich bagażów. Mam nadzieję, że mi się uda oszukać ich czujność.

— Ale skrzynki nie zabieraj ze sobą.

— Wyślę ją przedtem w kufrze. Omnibus hotelowy odwiezie ją najbliższego dnia na dworzec kolejowy. Największa „ich" czujność nie zdoła odkryć tego.

— Nie radzę ci jechać wprost do Milanu.

— Nie, zatrzymam się we Florencyi i Bolonii. Przybędę do Milanu, jakgdyby z przypadku.

— I tam również otoczyć się musisz wielką ostrożnością.

— Zapewnie. Służba moja nawet wiedzieć nie będzie, że w kufrze znajduje się rzecz cenna dla mnie. Zamknę go w pokoju, którego klucz zabiorę ze sobą. W ten sposób, garbus o niczem wiedzieć nie będzie, sądzić będzie, że w bagażu moim, pozostawionym w Rzymie, znajduje się jego zguba. I wówczas kiedy już pewnym będę, że wyprowadziłem go w pole, wyjadę w poszukiwanie za kobietą.

— Pomogę ci w tem! — rzucił żywo Amanti, który w końcu zainteresował się silnie tą sprawą.

— W jaki sposób?

— Sposób dobry, ale długi.

— Oh! profesorze! — zapalił się Robert. Ja o tem wiedzieć muszę! Co to takiego?

— A więc — uśmiechnął się Amanti — ty zabierasz ze sobą rękę, nieprawdaż? i masz słuszność mój kochany...

— Co dalej! co dalej — nalegał Robert niecierpliwie.

— Ty kochasz tę rękę — a właściwie kochasz w niej nieznaną ci tajemnicę... Coś jednak z tej ręki u mnie pozostanie.

— Co takiego? — zdziwił się Robert.

— Parę kropel krwi zmieszanych z płynem konserwującym, który mi jest nieznanym dotąd. Ale mówiłem ci już i raz jeszcze powtarzam, że muszę odkryć zasadniczą własność tego płynu. Chemia bowiem moje dziecko jest potężną i wspaniałą nauką.

— No dobrze, a potem?

— Potem rzecz pójdzie już łatwo. Skoro będę w posiadaniu tajemnicy płynu, odnajdę człowieka, któremu powierzono zpreparowanie ręki. Wspominałem ci już przecież o cudownym wynalazku, uczynionym w tym kierunku przez jakiegoś badacza.

— Ale nie przypomina pan sobie nawet jego nazwiska? — zawołał z rozdrażnieniem Robert.

— Odnajdę je, bądź spokojny! Będę także tak jak i ty czynił poszukiwania. Jestem pewnym prawie, że wynalazca ten, jest to ten człowiek, którego podejrzywamy o dokonanie tej zbrodni — dodał Amanti z błyskiem energii w zmęczonych, wyblakłych oczach!

— A więc bierzemy się obydwaj do dzieła profesorze — wyrzekł Robert, ściskając serdecznie dłoń starego uczonego.

— Tak, moje dziecko, bierzemy się do dzieła i ten, którego poszukiwać będziemy, ujść nie może naszej ręki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

17

I.

— Ja już wszystko załatwię — wyrzekł poważnym, protekcyonalnym głosem. — Państwo nie potrzebują łamać sobie nad tem głowę. Nie pierwszy raz urządzam takie kolacye. U pana hrabiego Gucia niegdyś za dobrych czasów, to co tydzień prawie bywały przyjęcia, a gdzie to kawalerowi zajmować się podobnemi rzeczami. Pan da mi tylko pieniądze, a ja pozamawiam w mieście co potrzeba i rachunki wykażę. Resztę z Katarzyną obmyślę, bo ona także u lepszych państwa służyła.

Ciężar spadł Gawlikom z głowy. Gawlikowa nawet nadskakiwać zaczęła Franciszkowi, chcąc sobie zjednać jego dyskrecyę, ale on przyjmował te zabiegi zimno, obojętnie, jakgdyby nie zdawał sobie sprawy, o co jej chodzi.

— Bieda z taką służbą — żaliła się tylko przed kucharką. — I za pana i za lokaja głowę trzeba mieć na karku. Dorwało się to do pieniędzy, pożal się Boże, i nie wie, jak je użyć. Oj czasy, czasy! Chamstwo teraz przoduje, a pan z panów suchą kość ogryza. I pomyśleć, że na stare lata do takich człowiek przyjść musiał, bo tamtych już na porządną służbę nie stać.

Nadszedł nareszcie dzień tak gorąco oczekiwany. Już od samego rana ruch niezwykły panował w całem mieszkaniu. Co chwila odzywał się dzwonek w przedpokoju i Franciszek, przy pomocy donajętego służącego wnosił do jadalnego pokoju wspaniałe torty, kosze z winami i likierami i całe kosze kwiatów, zamówionych na tę uroczystość.

W kuchni krzątała się Katarzyna z córką stróżki, która chętnie na ten dzień usługi swoje ofiarowała.

— A pamiętał też Franciszek o przekąskach? — pytał służącego Gawlik, który od rana nie wychodził z domu. — Takie przepyszne jadłem raz u Hawelki.

— Pamiętałem — odparł Franciszek, uśmiechając się pobłażliwie. — W gabinecie u pana zastawię bufet.

— W gabinecie, u pana?! — wtrąciła się zdziwiona Gawlikowa. — Przecież tu, w jadalni, jeść będziemy, tu więc wódki i przekąski potrzebne.

— Pani pozwoli, że tak będzie, jak zarządziłem — skarcił ją spojrzeniem służący. — Wódki się przy damach nie pije i to przed taką kolacyą. Będzie który pan chciał coś przegryźć, to pan poprosi do gabinetu. Przygotowałem już tam cygara i papierosy i stolik do kart.

— Stolik do kart — powtórzyła z osłupieniem Gawlikowa.

— Tak, proszę pani — wyrzekł z naciskiem Franciszek. — Po kolacyi panowie tam przejdą na czarną kawę i papierosa, a panie zabawiać się będą w salonie. Pan zaproponuje partyjkę...

— Jakto! To oni tam całą noc w karty grać będą! — zawołała Gawlikowa, której się to wszystko w głowie pomieścić nie mogło.

— Nie koniecznie, proszę pani — uśmiechnął się służący. — Nie wszyscy zresztą panowie grają, i ci z paniami zostaną w salonie, gdzie podam słodkie wina i owoce.

— Dziwne jakieś obyczaje — wzruszyła ramionami Gawlikowa. — To do stołu przed kolacyą Franciszek nie poda wódki?

— Nie, proszę pani, „u nas" panie wódki przed kolacyą nie piją. Dla panów, jak mówiłem, będzie bufet w gabinecie pana.

Jeszcze Franciszek nie dokończył nakrycia stołu, kiedy się zjawił pierwszy gość. Był nim znany na bruku krakowskim zbankrutowany hrabia Gucio, stary pieczeniarz, dla którego żadnej różnicy nie stanowiło środowisko, w którem mógł podpić sobie do woli i zabawić. Można go było spotkać dziś na fixe'sie pod Baranami lub na Szlaku, jutro w trzeciorzędnej knajpie, zapijającego wódkę przy bufecie w towarzystwie bardzo podejrzanie wyglądających znajomych. Że jednak należał do jednej z arystokratycznych rodzin w Polsce i skoligacony był z wielu pierwszorzędnymi domami, wszędzie przyjmowany był chętnie, choć w salonach mówiono często o nim z uśmiechem lekkiego politowania i wymówki: — „Ah! vraiment, ce cher Gucio se déclasse de plus en plus". Il deviendra un jour impossible!

Gawlik zapoznał się z nim w kawiarni, w kółku finansistów, którym hrabia Gucio gorliwie dotrzymywał towarzystwa w nadziei otrzymania zaproszenia na dobrą kolacyę lub choćby na kieliszek wódki.

Wchodząc do przedpokoju, hrabia Gucio stanął zdumiony na widok Franciszka.

— Bój się Boga, człowieku, a ty co tu robisz? — zdziwił się, wytrzeszczając wyblakłe, niebieskie oczy, wiecznie zamglone oparami alkoholu...



Wchodząc do przedpokoju hrabia Gucio stanął zdumiony na widok Franciszka.

— Mógłbym się o to samo jaśniego pana zapytać — odparł Franciszek z poufałością starego sługi, który może sobie już na niejedno w stosunku do znajomych państwa pozwolić.

— Dobrze rzekłeś mój stary — zaśmiał się hrabia Gucio, rzucając mu na ręce laskę i kapelusz. — No, rozbierz mnie. Więc służysz u tych... jakże tam, Gawlików, świeżo upieczona arystokracya pieniężna — westchnął z pewnym żalem.

— A służę, proszę jaśnie pana. Służby u państwa już zabrakło, więc i taki Gawlik dobry, choć tam w człowieku nieraz złość się wzburzy, że takim z przeproszeniem chamom kłaniać się musi.

— A no, co robić mój stary, co robić! Zjeżdżają panowie na psy, a tacy z ziemi wyrastają jak grzyby po deszczu. Nie wrócą się już prędko dawne czasy!

— Bo też panowie sami sobie winni — szepnął z żalem Franciszek, wieszając palto hrabiego na wieszadle. — A jaśnie pan pierwszy, taki majątek! i wszystko dyabli wzięli niewiadomo na co!

— Nie gadaj, stary, nie gadaj! Użyło się niemało, i pałac i konie, ruletka, kobietki — błysnął hrabia Gucio nagle ożywionem spojrzeniem na wspomnienie rozkosznej przeszłości. — No, cóż tam? Gdzież się te Gawliki pochowały. Na przyjęcie gościa nawet nie wychodzą psubraty.

— Panie poszły się ubierać, nie spodziewali się tak wcześnie. Nikogo jeszcze niema, a pan skoczył po coś do miasta. Zaprowadzę jasnego pana do gabinetu. Pyszności tam zastawiłem. Jaśnie pan się rozerwie, czekając.

— Otóż to właśnie, mój kochany, otóż to właśnie! — zaśmiał się z zadowoleniem hrabia Gucio, podążając spiesznie za Franciszkiem. — Chętniebym jakich kropelek połknął, bo się jakiś nieswój dzisiaj czuję. A kolacya będzie porządna — co? Bo to widzisz boję się, czy te chamy rozumieją się na czemkolwiek. A szkoda byłoby mojej fatygi.

— Niech się jaśnie pan nie obawia — zaśmiał się dyskretnie Franciszek. — Obmyśliłem wszystko prawie tak samo, jak wtedy, kiedyśmy u jasnego pana ostatnią kolacyę wydawali. Gawlik popamięta to przyjęcie. I o wina różne się postarałem i likiery, przekąski od Hawełki — wszystko w porządku...

— A toś zuch — zawołał hrabia Gucio swobodnie, podchodząc do apetycznie zastawionego bufetu. Oh! oh! widzę tu coś w sam raz dla siebie! Bodajeś długie lata żył, mój stary!

— Zdaje mi się, że się tu jaśnie panu nie znudzi — odrzekł z zadowoleniem Franciszek. — Ja teraz pójdę, bo gotowi goście nadejść, a stół jeszcze nie dokończony...

— A nie dajcie długo czekać na kolacyę — wołał jeszcze za nim hrabia Gucio, rozpromieniony widokiem długiego rzędu różnorodnych butelek, rysujących się zdaleka.

Niedługo potem nadszedł Gawlik z miasta i prawie równocześnie zaproszeni goście schodzić się zaczęli.

W rzęsiście oświetlonym salonie na kanapie rozsiadła się majestatycznie Gawlikowa w jedwabnej, fiołkowej sukni, w fryzurze wysoko spiętrzonej przez zamówioną na ten cel fryzyerkę. Żółtą jej twarz pokrywała gruba warstwa pudru. Z miną pełną godności wyciągała rękę do mężczyzn, przedstawianych jej przez męża, cedząc kilka słów powitania, zachowując poza tem dyskretne milczenie z nakazu Kazi, obawiającej się jej niepowściągliwości w rozmowie.

Kazia natomiast ożywiona, wesoła, uśmiechała się na wszystkie strony, bacznem spojrzeniem przenikając każdego z gości, upatrując w nim przyszłego męża. Ale egzamin ten widocznie nie wypadł pomyślnie dla tych panów, bo po jakimś czasie uśmiech pogardliwy skrzywił jej usta i zapominając zupełnie o roli panny domowej, obowiązującej ją do uprzejmego zachowania się wobec wszystkich, ostentacyjnie wyróżniać zaczęła hrabiego Gucia.

Dłuższy pobyt w Gabinecie Gawlika w towarzystwie tak sympatycznych mu butelek, nie okazał się bez skutku.

Twarz hr. Gucia okrągła, o regularnych, ładnych rysach, bledsza była jeszcze niż zazwyczaj, oczy cienką mgłą przysłonięte, spoglądały bezmyślnie i uparcie na każdy przedmiot czy osobę. Błogi uśmiech przywarł mu do ust mięsistych i mocno czerwonych.

Od czasu, do czasu ciężkim, machinalnym ruchem przesuwał białą, długą ręką po przerzedzonych włosach nad czołem.

Hrabia Gucio przyjmował zabiegi córki gospodarza domu z początku z jakąś wyniosłą obojętnością i nonszalancyą. Lecz wkrótce jakaś żywsza iskierka zamigotała w jego wypłowiałych źrenicach.

Wykorzystawszy chwilę sposobną, podszedł kołysząc się lekko całą postacią do slusznego, przystojnego mężczyzny, stojącego w rogu salonu, obserwującego z uwagą całe towarzystwo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staszewskiej.

TOM I.

22

— Wszystko co pani pragnie, mieć musi my Lady.

— Nie nazywaj mnie my lady dzisiaj — zawołała z nagłą szorstkością.

Ibrahim wyglądał zdziwiony i urażony.

— To nic, Ibrahim — dotknęła się czoła — głowa mnie dzisiaj boli i wszystko mnie gniewa.

Wsadził rękę w fałdy swej złocistej szaty i wyjął flakonik bardzo tanich europejskich perfum.

— To panią wyleczy, my la... — miss! Proszę potrzeć tem głowę, to bardzo pięknie pachnie!

Przyjęła z wdzięcznym uśmiechem, a on odszedł zamyślony, spełnić rozkaz, pochylając głowę na lewe ramię, z wyrazem wiernego psa, który niespodzianie odpędzony został od swej pani. Mrs. Armine siedziała cicho, namarszczona, dochodził ją śpiew Nubijczyków Barondi'ego, pochylonych nad wiosłami; nie śpiew o Allahu, którym ją przywitali, posłuszni, może jakiemu rozkazowi z Aleksandryi, przysłanemu przez ich pana, ale powolna i tajemnicza pieśń, jakby zawodzenie jakiegoś ducha Nilu o smutku słońca, które się skarży, że w samem sercu jego złotej glory i, pojawiła się plama, która ją pożera, tak, jak niepewność zatruwa wszelką ziemską radość.

Dzień się miał ku końcowi, głosy żeglarzy umilkły w oddali; Hassan, spełniając rozkaz Ibrahima, przyniósł dla swej pani herbatę do ogrodu. Skończywszy ją zastawiać, stał jeszcze chwilę, patrząc poprzez obszar wody, na wielką, białą dehabijah Barondi'ego, uwiązaną poniżej u brzegu. W oczach jego pojawiły się żółte błyski.

— Co czynisz, Hassan? — spytała Mrs. Armine.

Wysoki Nubijczyk zwrócił się do niej:

— Mahmond Barondi bogaty — rzekł. — Machmond Barondi bogaty!

Spojrzał znowu na statek, posunął jakiś talerz, wygładził obrus i spokojnie odszedł. Mrs. Armine popijała herbatę i wciąż z namaszczonem czołem patrzała na rzekę, która powoli zaczynała tracić swój brunatny kolor, przechodząc stopniowo w jasne, a następnie ogniste złoto. Wiry na wodzie drgały jasnym, delikatnym fioletem. Dziwna promienność, estetyczna, a pełna rozkoszy, zdająca się łączyć pierwiastek duchowy z materyalnym, rzucała na świat zasłonę piękności. W miarę, jak złoto na rzece stawało się gorętsze, wydawało się ruchliwsze, płynące w dół, do Luksoru, i czołgające się z zachodniego brzegu na wschodni ze statku Barondiego, prawie do stóp Mrs. Armine.

— Machmond Barondi bogaty! Mahmond Barondi bogaty!

Dlaczego Hassan to powiedział? Co to ją może obchodzić? Spojrzała na statek, który teraz wyglądał jak czarny klejnot na złotem tle ruchliwej rzeki, i miała uczucie, że Nubijczyk, jakby jaki czarodziej, znający jej naturę, starał się ją dzisiaj pocieszyć, ukazując złoto. To była myśl niedorzeczna, z której gorzko się uśmiechnęła.

Nienawidziła teraz Nigla. Kiedy go zostawiła w ogrodzie, nienawidziła go za jego brak światowości, zmieszanej z rodzajem chłopięcej prostoty. Wiedział, naturalnie nie mógł nie wiedzieć, że Zoe będzie miała dziecko. Musiał się o tem dowiedzieć w czasie polowania z bratem w jesieni. I nie powiedział jej o tem słowa. A teraz przestał być spadkobiercą. Mógłby, co prawda, nigdy po bracie nie dziedziczyć, lecz była szansa, że odziedziczy i że ona zostanie kiedyś Lady Harwich. Ta myśl zwróciła jej uwagę na Nigla, miała wielki wpływ na rolę, którą względem niego odegrała w Londynie i dzięki której została jego żoną. Gdyby to, co się stało teraz, stało się przed kilku tygodniami, czy uplanowałaby swoje z nim małżeństwo? Czy to małżeństwo przedstawiałoby dla niej jakąś korzyść?

Jak lady Hayman i cała jej klika, która rozpieszczała i rozrywała sobie piękną Mrs. Chepstow, nazwała ją „Bella Donną", jak oni muszą się cieszyć! Siedząc podczas zachodu słońca nad Nilem, słyszała ich słowa: „Co za szczęście, że ta kobieta się przerachowała"! jak musi się wściekać teraz, kiedy Harwich ma dwóch synów! „Co za wspaniały policzek, dany jej za złapanie tego szaleńca Nigla Arminai" W tej chwili setki kobiet uśmiechały się z doznanego przez nią zawodu, a prawdopodobnie i setki mężczyzn, gdyż nikt nie uwierzy, że wyszła za Nigla dla niego samego, że go uczciwie pokochała i otwarcie z nim postępowała. To pewne, że go nie kochała. Nie był typem człowieka, którego kobieta z jej naturą i temperamentem mogła kochać. Lubiła go, zanim za niego wyszła, miał dla niej nawet pewien fizyczny urok, ale już teraz ta fizyczna atrakcya — prawdziwy kaprys zanadto doświadczonej kobiety — straciła dla niej powab, a gdyby Nigel wiedział dlaczego, zostałby ugodzony w samo serce.

Nie mogła znieść jego miłości ideału, jego wyszukiwania ukrytego dobra w ludziach, głównie w niej, jego tajemnego pragnienia moralnego postępu. Wiedziała, że te rysy w nim istnieją i była zdolną ich nienawidzieć, lecz nie mogła ich zrozumieć, jakkolwiek była mądrą kobietą. Jej mądrość należała do tego typu, który lepiej zrozumie zło niż cnotę, a pomimo, że mogła przyjąć jej pozory, jak tego dała dowód w Londynie, i co jej pomogło pozyskać Nigla, nie mogła nigdy pojąć i zrozumieć piękności cnoty i ograć się w jej jasnym płomieniu. Wydawała się być moralną kaleką, i przepaść, która ją dzieliła od męża, polegała na jego uczuciu absolutnej niewiary w moralne kalectwo jakiejkolwiek ludzkiej istoty. Nigel nie mógł nigdy jej zrozumieć, gdyż jego zdolność poznawania charakterów była mniejszą od zdolności kochania. A ona, pomimo że mogła odgrywać zwodniczą rolę, że zdawała się być, a w rzeczywistości rzadko kiedy była sobą samą, w samej głębi swej duszy miała pragnienie, wspólne wszystkim ludziom, być zrozumianą, być poznaną.

Nigel wiedział, że Zoe Harwich będzie miała dziecko, i nigdy jej o tem nie wspomniał. Mrs. Armine siedziała, patrząc na zachód słońca, wciąż sobie te słowa powtarzając. Powtarzała je od rana, bez znużenia. Nawet gwałtowny wybuch gniewu ich nie zagłuszył. W pierwszych chwilach goryczy dodawała: „Nigel mi za to zapłaci!" Ona płaciła za swą namiętność" Może Nigel zapłaci i za to także. Pojedzie za parę do Fayum. Jakżeby chciała, żeby pojechał już dzisiaj, żeby nie spędzała z nim wieczoru, nie była zmuszoną grać roli dobrej kobiety!

Herbata stała się prawie czarna, naciągając tak długo. Nalała sobie drugą filiżankę i piła ją bez cukru i bez mleka. Miała smak cierpki, lecz ją pokrzepiła, czuła się mniej znużoną, jakby uwolnioną od okrywających ją zasłon, i stanęła naga i bezwstydna w pełnem świetle prawdy.

Nigel będzie musiał kiedyś się z tem liczyć!

Złoto gasło na rzece, woda stała się podobną do płynnego srebra, a w parę chwil do stali. Z dehabijah, która wydawała się bardzo oddaloną, błysnęły czerwone i niebieskie światła. Jednakże głosy fellachów, pracujących nad Nilem odzywały się wciąż nieznużenia. W ciągu ostatnich dni Mrs. Armine przywykła do tych głosów tak dalece, że trudno jej było sobie wyobrazić, że przed niedawnym czasem nigdy ich nie słyszała, nigdy nie czuła ich dziwnego wpływu, porywającej siły, które łączą się z siłą słońca i powietrza, pobudza dusze ludzkie do niedobrych, nawet okrutnych przyjemności. Obecnie z zapadającym zmrokiem, te potężne, dzikie i smutne głosy nabierały większego znaczenia, zdawały się pochodzić nie z piersi spracowanych Egipcyan, lecz z łona tej krainy ruin i złota, gdzie zrana śpiewają skowronki, a w nocy wyją szakale.

Przez długą chwilę Mrs. Armine słuchała, siedząc bez ruchu. Nagle wstała i spiesznie udała się do domu. Nigel powracał. Na tle głosów fellachów, rozpoznała głosy Nubijczyków Barondi'ego.

Kiedy się znalazła w domu, poszła prosto do swojej sypialni, zamknęła drzwi i stanęła w otwartem oknie, wychodzącym na balkon zwrócony w stronę Nilu. Głosy fellachów umilkły. Z zapadającym prędko zmrokiem nadszedł czas odpoczynku. Oblekli swe purpurowe szaty, i wracali do wsi. Lecz tamte głosy odzywały się bliżej i bliżej, zawodząc raczej niż śpiewając fatalistyczną pieśń w takt wioseł.

Noc nadeszła, głosy zamilkły.

— — — — — — — — — — — — —

Mrs. Armine wychyliła się, trzymając się jedną ręką za framugę okna... Białe zęby błyskały na dolnej wardze. Usłyszała w ogrodzie dwa głosy, które się zbliżały do domu.

— — — — — — — — — — — — —

— Marie! Marie!

Panna służąca przybiegła.

— Ma Madame! Czego madame sobie życzy?

— Zmienię suknię.

— Madame chce się ubrać na wieczór?

— Nie — obiad będzie dopiero za dwie godziny.

— W takim razie, madame —

— Nie mów tak dużo. — Przynieś mi białą suknię, tę białą płócienną od Paqniu, której jeszcze nie nosiłam. I przynieś jeszcze....

Wydała rozporządzenie co do pończoch i obuwia i weszła do swego ubieralnego pokoju, gdzie stanęła przed lustrem, przypatrując się uważnie swej twarzy, poczem zdjęła kapelusz.

— Zamknij drzwi, prowadzące do sypialni i do pokoju monsieur! — zawołała po chwili.

— Bien, madame.

— Mon Dieu! — szepnęła dziewczyna, zamykając drzwi na klucz — czy ona zwaryowała. Co się jej stało? Niema tutaj nikogo, żaden gość nie przyjdzie i to całe toku-boku.

— Przyniesś biały kapelusz, z białym rajerem!

— Ah! mon Dieu!

Czy słyszysz? Biały!

— Słyszę, słyszę, madame, oh là là!

— Spiesz się!

— Bien madame, très-bien!

Dziewczyna pobiegła po kapelusz, a Mrs. Armine, po zapaleniu wszystkich świec, usiadła przed lustrem. Przypomniała sobie życzenie Nigla, dzisiaj wyrażone, żeby zaprzestała „tych rzeczy" na twarzy. Dobrze! odpowie mu na swój sposób. Bardzo starannie i umiejętnie zaczęła bielić twarz, podkreślać oczy i brwi.

— Wszystko gotowe, madame.

Marie, stała we drzwiach ubieralnego pokoju, drgnęła i wykręciła się na obcasach jak dało się słyszeć pukanie do drzwi i ktoś wziął za klamkę.

— Stój spokojnie!

Mrs. Armine chwyciła ją za ramię. Dziewczyna stała cicho, patrząc się i dziwiąc jak jej pani bez szelestu przeszła do sypialnego pokoju i siadła na łóżku, pochylając się, dopóki jej głowa nie znalazła się blisko poduszek, których jednak starała się nie dotykać.

— Ruby! Ruby!

— Co się stało? Kto tam? kto tam?

Zdziwiony głos odpowiedział:

— To ja — Nigel!

Mrs. Armine usiadła.

— Co się stało, Nigel? Położyłam się.

— Oh! jak mi przykro, że ci przeszkodziłem, ale — nie jesteś chora?

— Nie — chciałam tylko odpocząć. Co się stało Nigel?

— Przyprowadziłem Barondi'ego, żeby ci złożył wizytę i dla pokazania mu naszej willi, zaprosiłem go też na obiad.

Oh! bardzo dobrze.

— Może masz co przeciw temu Ruby?

Głos za drzwiami stał się nagle bardzo cichy.

— Idź i baw go, ja zaraz przyjdę!

Puścił klamkę, lecz przez przez chwilę nie było słychać oddalających się kroków.

— Bo widzisz Ruby, jeżeli —

— Idź już idź! zaraz przyjdę.

Kroki się oddaliły.

— Nałóż mi suknię! Poczekaj — zmień pierwej pończochy.

Marie spiesznie uklękła. Uśmiechnęła się, schylając głowę.

Zaczynała rozumieć.

XIV.

Kiedy Mrs. Armine weszła do saloniku, nie znalazła w nim nikogo, lecz uczuła woń cygarowego dymu i usłyszała szmer rozmawiających zewnątrz głosów. Widocznie mężczyźni przechadzali się po ogrodzie, rozkoszując się łagodnem, wieczornem powietrzem. Nie zeszła do nich za raz, stanęła i przysłuchiwała się głosom.

Ah! rozmawiali o Faymu, prawdopodobnie omawiali jakąś kwestyę rolną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

I niewiele brakowało, aby kronikarz pojechał... do Rygi, jako delegat swej rodzonej żony, pani Weroniki, która także, w braku innego zajęcia, interesuje się obecnie bardzo żywo polityką światową, zwłaszcza, że zapowiadano, iż zaraz po zawarciu pokoju poprawią się stosunki, bo Rosya zasypie nas poprostu różnego rodzaju surowcami. Tak twierdził Lloyd George, a z nim trzyma stale pani Weronika, twierdząc, że to obecnie jeden jedyny polityk, który ma głowę.

Łagodna zwykle niewiasta, nie mogąc się doczekać końca ryskich pertraktacyi, wpadła w pasyę, co się jej zresztą bardzo rzadko zdarza, najwyżej kilka razy na dzień.

— Mój kochany — mówiła — jedź zaraz do Rygi i powiedz tym panom, że ja już dłużej nie mam ochoty czekać. Radzą tam i radzą, a skutków tego nie widać!... Albo może będzie lepiej, jeżeli ja tam sama pojadę, a ty siedź w domu i pilnuj, aby nas nie okradziono!... Nagadam Dąbskiemu i Joffemu, co się im słusznie należy, a zobaczysz, że będzie pokój. I to jaki jeszcze!... Ja sama podyktuję im warunki, a biada im, gdyby ich przyjąć nie chcieli!...

— Racya, moja droga Weroniko — ja jej na to — Jedź, jeżeli masz ochotę i pieniądze na drogę. Może ci się uda, bo to nawet przysłowie mówi, że „gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła“... A, wiadomo, przysłowia są filozofią narodów, jak nas ongi w szkole uczono.

I, kto wie, czy nie byłaby się i wybrała w drogę. Podpisanie rozejmu zapowiedziano na piątek, dnia 8. października (w piątek dobry początek!...), a tu minęła sobota i niedziela, a telegramy donoszą ciągle tylko o przeszkodach, na razie technicznych, później ekonomicznych.

Przeszkodą techniczną przy podpisaniu mógłby być chyba brak traktatu rozejmowego, albo pióra lub atramentu, lub też ewentualność, że obaj przewodniczący delegacyi, upoważnieni do podpisania, pisać nie umieją. Choć i na to znalazłaby się rada. Mogą w danym wypadku użyć znaku Krzyża świętego. Gorzej byłoby, gdyby się wyłoniły trudności ekonomicznej natury, skoro jednak, jak doniesiono, doszło do zgody, była to zatem tylko kaczka dziennikarska, która się wylęgła w Warszawie, a przyleciała i do Krakowa.

W poniedziałek niecierpliwość Weroniki doszła już do punktu krytycznego. Oświadczyła, że, jeżeli wtorkowy *Kuryerek* nie przyniesie wiadomości o podpisaniu rozejmu, jedzie. Staraliśmy się jej wytłómaczyć, że, skoro tak długo czekała, może poczekać jeszcze, zresztą, ze względu na strajk kolejowy, bardzo wątpliwem jest, czy dostanie się do Rygi.

— To pójdę piechotą!... — zakonkludowała — A musi stanąć na tem, czego sobie życzę!...

Widocznie jednak dowiedzieli się delegaci, jakie ich czekają odwiedziny, gdyż w poniedziałek, dnia 11. października, podpisali o godzinie siódmej wieczór protokół rozejmowy, a potem poszli na kolacyę, która im podobno bardzo smakowała. Pan Joffe i Dąbski, naśladując amerykańskich Indyan, wypalili przy tej sposobności „cygaro pokoju“ zamiast fajki. Żałowano ogromnie, że nie było w tym czasie w Rydze pana Paderewskiego, byłby bowiem niezawodnie wyściskał i wycałował delegatów rosyjskich, jak to uczynił w Paryżu z przedstawicielem Litwy, która sobie wobec nas tak po łajdacku postąpiła.

„Nowości Illustrowane“ nie wysłały do Rygi swego specyalnego sprawozdawcy, dowiedziały się przecież z doniesień „naszych specyalnych korespondentów“ innych pism, że w piątek 8 października, nie można było podpisać traktatu rozejmowego rzeczywiście z powodów natury technicznej. Protokół, zawierający siedmnaście punktów, był w robocie, nie można go było skończyć przed szabasem. W sobotę odpadło podpisanie z powodów rytualnych, w niedzielę stanął na przeszkodzie spoczynek niedzielny. Na poniedziałek przypada wprawdzie *blaumontag*, ale ten obowiązuje tylko szewców, a nie polityków.

W poniedziałek zatem, w dniu 11. października, podpisano nareszcie rozejm, co jest pierwszym krokiem do zawarcia s t a ł e g o pokoju, którym mamy się cieszyć... aż do wiosny. Tak przynajmniej zapowiadają politycy wielkiego i małego kalibru, którzy są zdania, że Trocki nie życzy sobie kampanii zimowej, a co potem nastąpi, to o tem jeszcze pogadamy. I tem tłómaczą tę ustępliwość sowieckiej Rosyi, przyjmującej bez zastrzeżeń wszystkie polskie warunki w tej myśli, że... nie na długo. Rosya naśladuje tylko Niemcy, które także podpisały — traktat wersalski.

W każdym razie rozejm jest, kroki wojenne kończą się 18. października, a pani kronikarzowa została w Krakowie i łamie sobie głowę nad usunięciem trudności ekonomicznych, co jej przecież nie idzie tak łatwo, jak członkom delegacyi pokojowej. Zdaje się, że otwarcie granicy rosyjskiej przyniesie i jej i Lloydowi George'owi tylko przykre rozczarowanie.

Oby takie rozczarowanie nie stało się udziałem i tych wszystkich, którzy w to wierzą, że sowiecka Rosya pragnie szczerze pokoju. Podpisała rozejm, bo się jej paliło pod stopami, będzie nawet i rokować o pokoju, aby tymczasem znaleźć czas na pozbycie się tych kłopotów, które jej teraz dokuczają. Wrangel, Petlura, rewolucya wewnętrzna, to czyraki, dokuczliwe wprawdzie, ale można się z nich wyleczyć, gdy się ma spokój od zachodniej granicy. Niech jednak odetchnie i nabierze nowych sił, na wiosnę może się odezwie inaczej. Bo i cóż łatwiejszego, jak zerwać rozejm, a choćby nawet i definitywny pokój dla tych, dla których nie istnieją żadne względy sprawiedliwości, uczciwości i tym podobnych uczuć, wykreślonych dawno z bolszewickiego słownika. Ta ich ustępliwość, jaką okazali, a która zajęła miejsce dawnej apodyktyczności przy stawianiu warunków pokoju, mówi sama za siebie, ale mówi niezbyt pocieszająco. Coś tam tkwi na dnie i to „coś“ każe się nam mieć na baczności i nie roić zbyt złotych nadziei na przyszłość. Między ustami, a brzegiem puharu — może się zdarzyć wiele niespodzianek!

Kronikarz nie chce być złowróżbnym ptakiem, ale musi się *przyznać*, że mu ten rozejm zbyt nie... pachnie. Czy się mylił, przyszłość to pokaże. Do wiosny nie tak znów daleko, a chyba przez ten czas nie zaśniemy snem zimowym.

Do wieńca laurowego, jaki zdobi skroń pana Adolfa, syna Abrahama, Joffego, przybył nowy listek z napisem „Rozejm w Rydze“. Okazało się, że mąż ów jest w samej rzeczy specyalistą w zawieraniu pokojów, rozejmów i t. p., i że słusznym zupełnie jest przydomek, jaki mu nadano *mirotwórca.* On zawierał z Niemcami i Austryakami pokój w Brześciu Litewskim (ten mu się nie udał!...), potem z Łotwą i Estonią, następnie z Litwą, wreszcie z Polską. Ma już tyle doświadczenia w tym kierunku, że mógłby śmiało otworzyć koncesyonowane biuro pośrednictwa pokojowego. Co jednak pocznie, gdy wojny się skończą, a jego pośrednictwo okaże się zbytecznem?... Mając teraz tyle do czynienia z pokojami, gotów otworzyć... biuro wynajmu mieszkań, co także w obecnych warunkach, przy zupełnym zastoju budowlanym, piękne przynosi dochody. A dochód to dziś grant, zadarmo nic się nie robi, z pewnością też i pan Joffe nie pośredniczy jedynie tylko z zamiłowania pokoju, lub dla pięknych oczu pana Trockiego, ale każe sobie za to porządnie płacić. Należy nawet przypuścić, że był za dziennemi dyetami i dlatego starał się tak przeciągnąć rokowania, iż to nawet panią Weronikę zgniewało. Gdyby mu natomiast dano ryczałtowo milion i kazano jechać do Rygi, aby zawrzeć pokój, z pewnością byłby się załatwił najdalej w dwu dniach, aby oszczędzić sobie kosztów. Robota „na dniówkę“ zawsze więcej kosztuje, niż akordowa. Tym, którzy pracują za dziennem wynagrodzeniem, nigdy się nie spieszy.

Syn Abrahama stał się przecież bohaterem dnia. Wszyscy o nim mówią, piszą, nawet go malują. Słysząc to i widząc, wyrobiliśmy sobie przekonanie, że raczej wygląda on na zasobnego burżuja, niż na przedstawiciela wojującego proletaryatu. I gdyby tak ponętnie, jak on, miał się przedstawić każdy proletaryusz, każdy z nas zgodziłby się bardzo chętnie na dyktaturę proletaryatu. Korespondenci podają, że ma on trzech sekretarzy i trzech służących dla swej osoby, na co sobie nie każdy burżuj może pozwolić.

I na innych członkach rosyjskiej delegacyi pokojowej „cierpień ludu pracującego“ nie widać. „Weseli, ramiani, przystojnie odziani“... — jak powiada poeta, usposobieni przytem bardzo wesoło. Ale nie wszyscy!... Są między nimi i tak zbiedzeni, iż mimowoli przypominają dezerterów z tamtego świata. Są nimi mianowicie profesorowie uniwersytetu z Moskwy i Petersburga, których nędza popchnęła w objęcia komunizmu. To jego członkowie „honorowi“, już na pierwszy rzut oka różniący się od tamtych, czynnych. Wysługują się bolszewikom za łyżkę strawy, ale im ona jakoś nie wychodzi na zdrowie. Joffe traktuje ich z góry, jak każdego, który musi żyć z cudzej łaski.

Wraz z delegacyą sowiecką przybył do Rygi także i zastęp przedstawicielek płci nadobnej, gdy natomiast delegacya polska reprezentowaną była wyłącznie przez osobniki rodzaju męskiego.

Budynek, w którym odbywały się posiedzenia konferencyi, to jeden z najcenniejszych zabytków architektonicznych miasta Rygi. Tak zwany „Dom czarnogłowych“, należy do jakiegoś stowarzyszenia kupieckiego i ma swą historyę. Kronika powiada, że pewnej nocy, z okazyi jakiejś uroczystości wypito tam sto kilkadziesiąt beczek piwa i odpowiednią ilość wina, a że członkowie tego klubu nie próżnowali, świadczą widniejące dotąd na ścianach napisy: „P r z e s t a ń k r z y c z e ć!... Z a p ł a ć z a p i w o....“ Na czas obrad konferencyi powinno się je było zastąpić innymi, naprzykład: „P r z e s t a ń g a d a ć!... P o d p i s z r o z e j m!...“ Do lokalu mieli wstęp tylko nieżonaci, co było bardzo racyonalne, boć to nie należy do przyjemności, gdy w knajpie zjawia się nagle jejmość rozindyczona w poszukiwaniu za swym małżonkiem i psuje całą zabawę. Tego nie lubią nie tylko wygodni burżuje, ale nawet i bolszewicy.

Do historyi „Domu czarnogłowych“ przybyła nowa karta, tym razem poważna. W jego murach zawarto rozejm, który ma doprowadzić do pokoju między Rosyą a Polską, co musi doprowadzić do ogólnego uspokojenia świata, zwłaszcza zaś Europy, będącej stale na wulkanie. Sprzykrzyło się to nawet prawdziwemu wulkanowi i stary Wezuwiusz zaczął kopcić z niezadowolenia i niecierpliwości, kiedy się to już raz skończy.

Może przecież będzie raz koniec, a to dzięki rozejmowi, zawartemu w Rydze i ogłoszeniu samodzielnej republiki fiumeńskiej.

To zestawienie może się komu wyda dziwne, nie jest przecież wyssane z palca. Po Rydze uspokoi się wschód Europy, po ukonstytuowaniu się rzeczypospolitej w Rjece, południe. D'Annunzio dopiął swego, nie będzie zatem dalej przyczyną zmartwienia i kłopotów dla koalicyjnych rządów.

Ale teraz dopiero wyszło szydło z worka, dlaczego jemu tak się zachciało tej republiki, a w niej prezydentury. Jak wszędzie, tak i tutaj wchodzi w grę kobieta. Chciał się poprostu w legalny sposób pozbyć swej prawowitej małżonki, która widocznie musiała mu już dość zalać sadła gorącego za skórę, nie jest także wykluczone, że ma już upatrzoną następczynię.

I pierwszem prawem, jakie uchwalił parlament fiumański, a prezydent D'Annunzio zatwierdził, była ustawa o rozwodach w myśl jego życzenia. Dopiął zatem swego, ma republikę a nie ma żony, będzie zatem cicho siedzieć i dziękować Bogu, że się pozbył kłopotu, bo „baba z wozu, koniom lżej“. Wpłynie to zapewne ożywiająco i na jego twórczość poetyczną, zwłaszcza, jeżeli w samej rzeczy ma zamiar popaść w małżeńską recydywę. Poeta natchnionemi strofami zdobywa serce swej wybranej... Ale nie każda da się wziąć na to. Gdy kronikarz swojego czasu zabiegał o serce, rękę i t. d. Weroniki, stroił też na jej cześć swą lutnię, ale ona przyjmowała to bardzo obojętnie, dopytując się natomiast ciekawie, ile też ma miesięcznego dochodu i czy on jest stały. Tak było dawniej, a dzisiejsze kobiety są jeszcze większemi materyalistkami i na miłość, a tembardziej małżeństwo, zapatrują się jedynie z praktycznego punktu widzenia.

To jednak do rzeczy nie należy. Faktem jest jedynie, że D'Annunzio ma rozwód w kieszeni i to podpisany przez samego siebie, przestanie się zatem awanturować, a Włochy dojdą może jakoś do porozumienia z Jugosławią na tle Rjeki, która, jak się teraz pokazuje, była nie im potrzebna, lecz panu Gabryelowi.

Wobec wypadków fiumańskich odpadnie zatem prawdopodobnie i podróż pana D'Annunzia samolotem do Japonii. Nie pozwoliła na nią poprzednia żona, nie zgodzi się tembardziej i jej następczyni, bo i cóż łatwiejszego, jak przy tej sposobności kark skręcić. — Poeta buja duchem po przestworzach, ciało jego może zatem pozostać na ziemi. Będzie mu i wygodniej i bezpieczniej, będąc zaś obdarzonym fantazyą, może bardzo łatwo napisać wrażenia z podróży, choć jej nie odbył.

Przecież i kronikarz, choć nie był w Rydze, opisał wszystko, jak gdyby na to patrzył własnemi oczyma, gdy tymczasem tylko czytał o tem i o owem, a resztę sobie, choć nie jest muzykalny, w duszy dośpiewał.

Biedna ta dusza!... Co też ci ludzie z nią teraz wyprawiają!... Jedni, to jest futuryści, każą jej mieć oczy i patrzeć, ale tak, aby zobaczyła nawet to, czego nikt nie widzi, poeci, a w tym wypadku nawet i kronikarz, każe jej śpiewać, kto wie, czy się ktoś nie znajdzie, kto chciałby aby... tańczyła. Ale i na tem jeszcze nie koniec!... Myśli kto może, że po najdłuższem życiu ludzkiem znajdzie spokój?... Także nie!... Oto stary Edison wynalazł sposób porozumiewania się z duszami zmarłych przy pomocy elektryczności, a zupełnie bez medyum. Będzie to przecież połączone z pewnemi trudnościami, gdyż w najbliższym czasie ma znów podrożeć prąd elektryczny, nie opłaci się zatem skórka za wyprawę.

Wystawa jesienna

w Pałacu Tow. Sztuk Pięknych w Krakowie.

I. Prace Franciszka Turka.

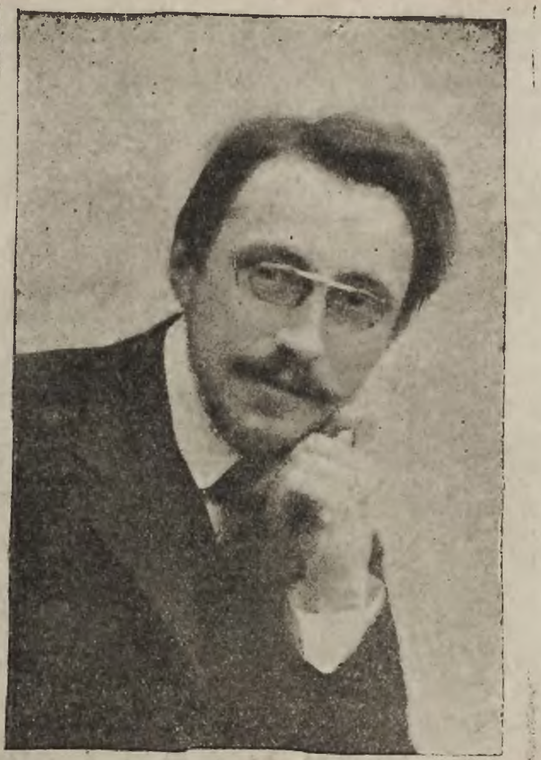
Spotykałem go przed wojną w ciche, księżycowe noce, jak wchodził w zaułki starego Krakowa z blokiem i kredką, szukając tej dawnej Piastów stolicy.

— Gdy dzisiejsze miasto usypia — powiadał — budzi się stare.

Kościoły i gmachy olbrzymieją w mrokach, ulice czarem tchną, widzi się straże uzbrojone cechów krakowskich, jak czuwają.

A Turek z ołówkiem w ręku stoi ukryty za szkarpą i w blasku migocącej latarni szkicuje. I tak powstał ten nieprzebrany cykl jego starego Krakowa. Jerzy Rodenbach, kreślący drżącą ze wzruszenia ręką poezyę starych murów, wnętrza podwórzy kazimierskich, duszę wyludnionych nocą ulic — dumę dzwonnic kościelnych — chwałę zamierzchłą krakowskich kielni.

I znów spotkałem go po latach — ale już hen, poza miastem, na drodze do Chełmu, jak zakurzony pyłem drogi, dźwigał z sobą wszystko, co do malowania potrzebne, od stalugi, krzesełka, a skończywszy na wodzie do akwareli.



Wystawa jesienna w Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie: Artysta-malarz Franciszek Turek, miłośnik i utalentowany odtwórca zabytków architektonicznych starego Krakowa.



Wystawa jesienna w Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie: Franciszka Turka „Górne Młyny królewskie".

Austrya rozpadła się — pękły zardzewiałe obręcze twierdzy krakowskiej — a słońce, długo więzione wdarło się w stare miasto — jak woda poprzez zniszczone groble.

Kraków w słońcu i w świetle jego okoliczne wzgórza — Lasoty, św. Bronisławy, Krzemionek, Bielan — w świetle dolina Wisły i skały Ojcowa.

A Turek zawsze pieszo — zawsze sam, ale nie samotny — słońce towarzyszem mu i te obłoki lekkie, jak uśmiech dziecka i to niebo pieśnią skowronków rozśpiewane.

Po rodenbachowsku kocha stare mury Krakowa — ale syn naszego miasta po swojemu je oddaje. Rozmiłowany w pracy — czuje w niej potrzebę i rozkosz z niej pije; a uczucie twórcy udziela się nam całkowicie. W dziedzinie malarstwa krajobrazowego kroczy dziś sam, zdala od całej rzeszy innych pejzażystów, nie oryginalnością różny, ale szczerością; nie sileniem się na tanią, zdawkową odrębność — ale prostotą, której nauczyła go jedyna jego mistrzyni — przyroda.

Akwarele, które dziś wystawił, tego przykładem. Świeżość uczucia rozmiłowanego w przyrodzie artysty, bije z tych jego akwarel — bo w każdej z nich uwięzionych jest tych kilka słonecznych chwil, jakie artysta przeżył podczas pracy. Takim jest jego Salwator—Bielany — motyw z Witkowic i Niepołomic — takim pełnym powagi ulica Floryańska i kościół św. Katarzyny. Wiosną tchną jego „Bzy" i „Gałąź Jabłoni", „Kwitnąca grusza" i „Sad". Poezyą owiany jego Park na Woli justowskiej, czy to w lecie, czy złotą jesienią i fasada kościoła Wizytek i kapliczka przydrożna.

W dawnych swych pracach wykonanych piórem, węglem czy pastelem pokazał nam Turek — stary Kraków — nie ten oficyalny z widokówek — ale ten niedoceniony podówczas i burzony — pokazał nam z umiłowaniem i odczuciem — dziś ukazał nam okolice. A uczynił to z taką otwartą szczerością i bezpretensyonalnością techniki akwarelowej — na jaką zdobywa się malarz, który nie tylko wiele z siebie daje, ale równie i wiele naucza. *J. B.*

Z Irlandzkiego piekła.

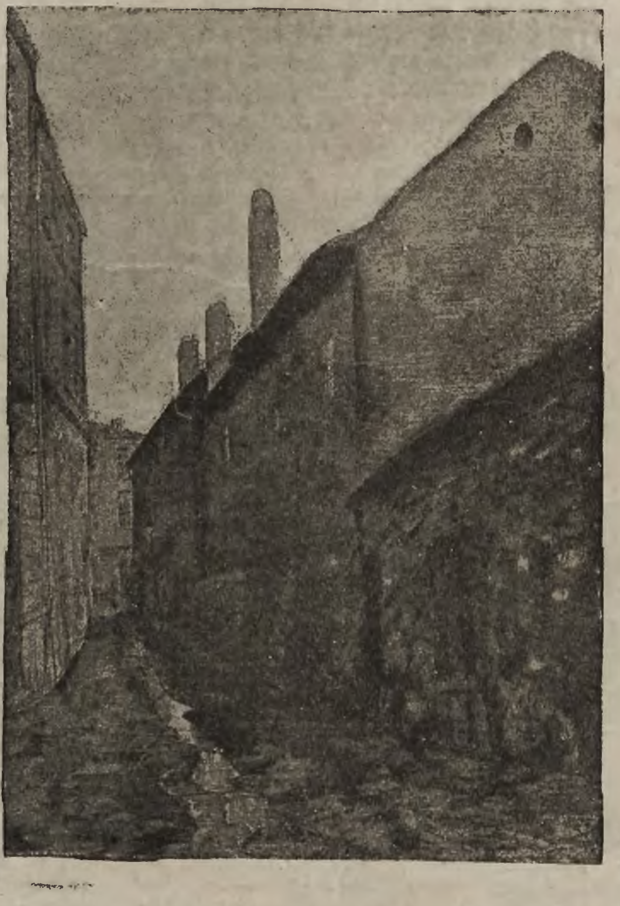
Anglia, która taką opieką otacza wszystkie mniejszości narodowe na obcych terytoryach, przechodzi stale do porządku dziennego nad słusznemi żądaniami Irlandczyków, wobec których stosuje się represye, niegodne tak kulturalnego rządu za jaki się mieni angielski. Irlandczycy, widząc metody rządu angielskiego, stosowane wobec innych narodów, dopominają się też o swe słuszne prawa, a wszelkie ich w tym kierunku zabiegi uważa rząd angielski za bunt i tłumi go w potokach krwi. Samostanowienie ludów o swoim losie może być wszędzie stosowane tylko nie w Irlandyi, jest też ona od szeregu lat widownią wojny domowej, która pociągnęła już tysiące ofiar, dla Irlandyi zjednała współczucie całego cywilizowanego świata, a Anglię zdyskredytowała zupełnie w opinii publicznej.

Koncesye, jakie rząd angielski ofiaruje Irlandczykom, nie są wystarczające, odrzucają też je oni stale, domagając się takich swobód, jakiemi cieszą się inne narody, berłu angielskiemu podległe. Anglika uważa też Irlandczyk za swojego śmiertelnego wroga i daje mu tego na każdym kroku dowody.

W Irlandyi panuje stale stan wyjątkowy, każdy objaw narodowego ruchu gnębiony jest bez pardonu, co dolewa tylko oliwy do ognia. Angielska policya postępuje sobie w sposób brutalny z ludnością miejscową, ta zaś odpłaca jej pięknem za nadobne. Skutkiem tego w całym szeregu miast irlandzkich mniejszych i większych przychodzi do ciągłych starć między władzami angielskiemi a ludnością, w których raz ta, drugi raz owa strona bierze górę. Aresztowania patryotów irlandzkich są na porządku dziennym, odpowiedź zaś na nie stanowią napady na urzędy angielskie, rozbrajanie wojska i policyi. Tak w Dublinie jak i w innych miastach rozlega się zbyt często huk strzałów karabinowych, całe dzielnice ulegają zniszczeniu, ale nie przynosi to pożądanego rezultatu, owszem przyczynia się do tem większego podniecenia obu stron walczących.



Wystawa jesienna w Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie: Franciszka Turka „Ulica św. Marka w Krakowie".



Wystawa jesienna w Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie: Franciszka Turka „Motyw z ulicy Miedzuch".

Taką typową ofiarą bezwzględności angielskiej był śp. Max Swiney, burmistrz miasta Corku. Aresztowany niewinnie przez Anglików, zawieziony został do Londynu i umieszczony w tamtejszem więzieniu, gdzie na znak protestu rozpoczął głodówkę. Interwencya najwybitniejszych osobistości nie pomogła, rząd angielski oświadczył stanowczo, że burmistrz Corku musi cdcierpieć całą podyktowaną mu karę. Ostatnie telegramy doniosły o śmierci Mac Swineya, co z pewnością w całej Irlandyi wywoła chęć pomszczenia tragicznego zgonu swego narodowego bohatera. Irlandczy sinfeiniści zagrozili wyraźnie rządowi angielskiemu, że w razie śmierci Mac Swineya odpowiedzą za to swem życiem członkowie londyjskiego gabinetu.

Prasa francuska, niezbyt przychylnie usposobiona względem Anglii, sympatyzująca natomiast z powstańcami irlandzkimi, przynosi cały szereg opisów strasznego zniszczenia, jakiemu ulega kraj „Zielonego Erynu". W Ameryce, gdzie przebywa bardzo wielu Irlandczyków, oburzenie przeciw Anglii z powodu jej irlandzkiej polityki jest ogólne, a w ostatnich czasach doszło tam nawet z tego powodu do bardzo burzliwych antiangielskich demonstracyj.

Czy Irlandczycy osiągną w całej pełni należące się im prawa, przewidzieć dziś trudno. Rząd angielski jest zbyt konsekwentny w swym uporze, nawet jego obietnice nie mogą zadowolnić Irlandczyków, żądających przecież tylko tego, co im się

słusznie należy. W sprawie irlandzkiej zabierali głos wybitni politycy angielscy, ostatnio lord Grey, były minister spraw zagranicznych, oświadczył, że trzeba znaleźć inną linię postępowania niż dotychczasowa.

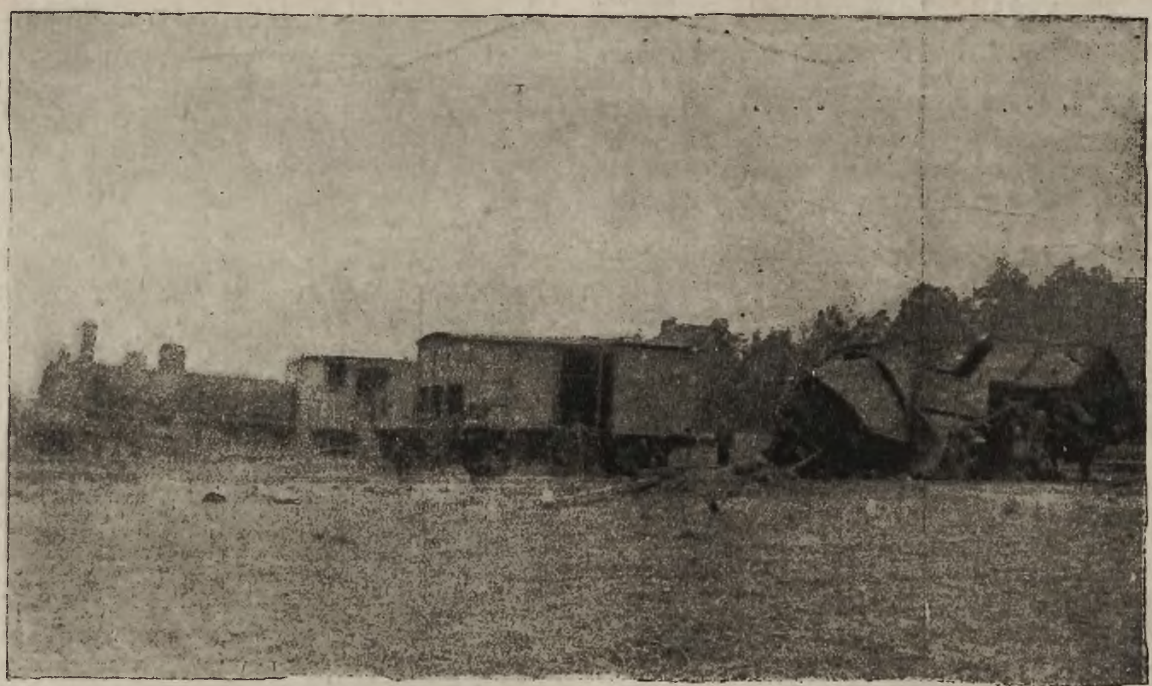
W konsekwencyi tego Grey proponuje politykę, opartą na następujących trzech punktach:

1) Ostateczna deklaracya, że dla obu wysp Wielkiej Brytanii i Irlandyi istnieje tylko jedna polityka zagraniczna, jedna armia, jedna marynarka.

2) Irlandczycy powinni także korzystać z wolności, jak ludy wielkich dominiów autonomicznych, które mogą same zadecydować, w jaki sposób ich krai ma być rządzony.

3) Ażeby Irlandyi dać czas do ustalenia własnego rządu, rząd angielski będzie wykonywał swe funkcye w Irlandyi przez okres czasu, nie przekraczający dwóch lat. Pod koniec tego peryodu, albo nawet wcześniej, o ile Irlandya będzie do przejęcia rządów gotowa, władze angielskie wycofają się, ustanawiając, jeśli to będzie konieczne, uczciwe warunki wycofania członków policyi i innych przedstawicieli urzędów angielskich.

Odpowiedzialność za rządy w Irlandyi spada wówczas na samych Irlandczyków.



Katastrofa kolejowa na linii Rozwadów—Lublin: Wykolejony parowóz i rozbite wagony.

Katastrofa kolejowa na linii Rozwadów-Lublin.

Katastrofy kolejowe zdarzają się u nas w obecnych czasach nawet częściej, niż to miało miejsce



Z irlandzkiego piekła: Ulica w miasteczku Mallow z szeregiem z iszczonych domów.

w okresie wojennym, gdy je tłómaczono wzmożonym ruchem i brakiem personalu, do tego przeciążonego nadmierną pracą.

Dziś jednak ruch jest słabszy niż normalny, a na brak personalu chyba narzekać nie można, skoro spotykaliśmy się w pismach codziennych z wzmiankami, że w Polsce na kilometr drogi żelaznej przypada aż trzydziestu funkcyonaryuszy, gdy natomiast w Niemczech zaledwie trzech. Ale i to nie jest wykluczone, że gromadzą się oni „przy wielkim ołtarzu", w ministerstwie i dyrekcyach, a linie kolejowe są licho obsadzone.

W każdym razie winę musi ktoś ponosić. W podanym przez nas wypadku przyczyną była pęknięta szyna, ale zdaje się nie ulegać kwestyi, że ścisły dozór mógł zapobiedz katastrofie. Aby się to zaś mogło prawidłowo odbywać, nie wystarczy „przeludnienie" w ministerstwie i biurach dyrekcyjnych, ale potrzeba odpowiednio licznego, wyszkolonego i należycie zaopatrzonego personalu na przestrzeni.

We wrześniu była linia koleiowa Rozwadów-Lublin widownią groźnej katastrofy, która pociągnęła za sobą liczne ofiary w ludziach, nie mówiąc już o stratach w materyale kolejowym, o który dziś tak trudno.

Nieopodal zniesionej już stacyi Sobieszczany natrafił około godziny 9 rano jadący z Lublina pociąg wojskowy na pękniętą szynę, wskutek czego parowóz się wykoleił i zarył w piasku, a bezpośrednio znajdujące się za nim siedem wagonów pełnych ludzi, zderzyło się gwałtownie, miażdżąc się nawzajem. Na miejscu katastrofy poniosło śmierć siedem osób, a siedemdziesiąt kilka poniosło ciężkie i lżejsze obrażenie. Siedem wagonów uległo zupełnemu zniszczeniu, parowóz został także silnie uszkodzony.

Zamieszczona przez nas illustracya, sporządzona wedle fotografii, zdjętej na miejscu nazajutrz po wypadku, przedstawia parowóz zaryty w piasku, pierwszy wagon po parowozie już wyciągnięty i przygotowany do windowania, następnie cztery, w których było najwięcej ofiar, spiętrzone na sobie, szósty i siódmy wagon był już wówczas usunięty.

Gdyby nasyp kolejowy był w tem miejscu wyższy, katastrofa byłaby przybrała jeszcze groźniejsze rozmiary.



Z irlandzkiego piekła: Spalone domy w Trimie (Hrabstwo Menth).



Z irlandzkiego piekła: Żołnierze angielscy podczas walk ulicznych w Mallow (Hrabstwo Cork).

Trafne rozwiązania naszej wielkiej szarady konkursowej

odpowiadające warunkom konkursu nadesłali w dalszym ciągu — pp.:

643 Ogibińska Helena, Nowy Sącz
644 Radziszewski Kazimierz, Jasło
645 Szukiewicz Józef, Drohobycz
646 Nawrot Stanisław, Kraków
647 Banaś Leon, Kraków
648 Woroniecka Stefania, Zakopane
649 Sielski Michał, Kalwarya
650 Brejski Stanisław, Jasło
651 X. Odziomek Antoni, Rajbrot
652 Łapa Jan, Rożnów
653 Mikuszewski Sylwester, Sambor
654 Turek Marya, Zawadka
655 Koszutski Stefan, Lwów
656 Jelonek Marya, Kraków
657 Kucharczyk Zygmunt, Wadowice
658 Feiner Karol, Sokołów
659 Cieślak Jan, Zakopane.
660 Szyszkowski Michał, Poznań
661 Bayer Ludwik, Zamość
662 Müller Jan, Przemysl
663 Przeworski Robert, Zamość
664 Wesołowski Zefiryn, Kołomyja
665 Urbański Karol, Borysław
666 Karaś Maryan, Tarnów
667 Olech Stanisław, Brzesko
668 Błażowski Jan, Sanok
669 Wachtel Jakob, Rzeszów
670 Pluskwa Maryan, Kraków
671 Lipiński Czesław, Krakow
672 Mosiński Jan, Poznań
673 Gorzelnicki Szczepan, Biała
674 Rybacki Władysław, Krasne
675 Kirchner Maryan, Jasło
676 Gaweł Roman, Warszawa
677 Drozdowski Klemens, Rzeszów
678 Krogulski Maryan, Kielce
679 Borecki Jan, Warszawa
680 Skowronek Jan, Tarnów
681 Sedyńska Irena, Kraków
682 Barek Maryan, Kraków
683 Dudek Leon, Stanisławów
684 Eisen Karol, Tarnobrzeg
685 Piela Stefan, Krościenko
686 Broda Karol, Tomaszów
687 Żygadło Jan, Sucha
688 Gebauer Zofia, Kraków
689 Urban Kazimierz, Lwów
690 Münz Szymon, Przemyśl
691 Troczyński Konstanty, Warszawa
692 Krzyszkowski Ludwik, Wieliczka
693 Antosiewicz Jerzy, Kraków
694 Bednarski Józef, Kraków
695 Eberhardt Leopold, Cieszyn
696 Steinmach Wanda, Sokołów
697 Orłowski Leon, Poznań
698 Stempowski Karol, Aleksandrów
699 Wójcik Henryk, Skawina
700 Mlachowski Konstanty, Bydgoszcz
701 Ziołkowska Marya, Kraków
702 Sikora Jan, Olszanica
703 Orzechowski Stanisław, Krosno
704 Bornstein Szymon, Lwów
705 Kumala Henryk, Chrzanów
706 Okuński Ludwik, Warszawa
707 Grywalski Jan, Noworadomsk
708 Baczyńska Helena, Dwory
709 Wagner Jan, Lwów
710 Górski Michał, Warszawa
711 Domagalski Rudolf, Staszów
712 Arciszewski Kazimierz, Warszawa
713 Kubik Leon, Sambor
714 Krzyżyk Jan, Kraków
715 Nalepa Henryk, Tarnów
716 Dreziński Michał, Zakopane
717 Marczewski Klemens, Jasło
718 Fiorczyk Jan, Kraków
719 Bogasiewicz Henryk, Warszawa
720 Osadziński Marceli, Zawichost
721 Zieliński Karol, Tarnopol
722 Augustyn Klemens, Warszawa
723 Dankiewicz Zygmunt, Przemyśl
724 Mrozicki Seweryn, Lwów
725 Römer Julian, Poznań
726 Rechter Helena, Kraków
727 Augenblick Henryk, Tarnów
728 Seweryn Wincenty, Warszawa
729 Olszewski Jan, Kraków
730 Barański Józef, Sokal
731 Raszowska Helena, Nowy Sącz
732 Walkowski Maryan, Piotrków
733 Piotrowski Leon, Warszawa
734 Dutkiewicz Jan, Wadowice
735 Teller Helena, Przemyśl
736 Żarnowski Zygmunt, Lwów
737 Kozak Leopold, Lwow
738 Halecki Stefan, Łódź
739 Stojowski Zygmunt, Sandomierz
740 Włoch Stanisław, Warszawa
741 Czermak Henryk, Warszawa
742 Rosenberg Henryk, Rzeszów
743 Taleja Stefan, Lwów
744 Żabski Jan, Lwów
745 Sanecki Michał, Ludwikówka
746 Tichy Stefan, Wadowice
747 Bauer Henryk, Tarnopol
748 Wojakiewicz Bolesław, Kraków
749 Hartmann Leon, Warszawa
750 Warski Stanisław, Kraków
751 Wróbel Karolina, Sokal
752 Petrykiewicz Szymon, Stanisławów
753 Kawecki Władysław, Lwów
754 Bańkowski Mieczysław, Sambor
755 Walewski Stefan, Jasło
756 Radecki Stefan, Kraków
757 Gudrecki Leopold, Bochnia
758 Chodkiewicz Józef, Tarnów
759 Meryka Zdzisław, Sanok.
760 Rybak Jan, Zakopane
761 Sikorski Michał, Poznachowice
762 Zebrowiecka Jadwiga, Kielce
763 Suski Zygmunt, Ostrowiec
764 Wyka Michał, Rzeszów
765 Młynarski Jan, Rozwadów
766 Gaj Józef, Lisko
767 Sapecki Konrad, Warszawa
768 Rączka Michał, Biała
769 Adler Klemens, Łódź
770 Ochalski Sylwester, Modleń
771 Zawadowski Marceli, Warszawa
772 Butrynowski Jerzy. Suwałki
773 Benek Leon, Kraków
774 Kozińska Marya. Stanisławów
775 Babiarz Konstanty, Wysoka
776 Mościcki Karol, Sambor
777 Lach Wanda, Sokołów
778 Radomski Leon, Sambor
779 Bulak Henryk, Lwów
780 Wilecki Stanisław, Kozłów
781 Zięba Roman, Tuchów
782 Rychlik Bronisław, Jabłonow
783 Niżynek Stefan, Zator
784 Rupprecht Karol, Warszawa
785 Graf Józef. Kraków
786 Rojek Marya. Szczakowa
787 Nowak Ludwik, Żabkowiec
788 Treger Czesław, Racibor
789 Darkowski Jan, Lwów
790 Małecki Zygmunt, Warszawa
791 Wasserberg Szymon, Lwów
792 Klocek Marya, Biała
793 Zalewski Stefan, Warszawa
794 Kownacki Ignacy, Przemyśl
795 Bieniak Zygmunt, Lwów
796 Osiewski Józef, Warszawa
797 Solnicki Roman, Piotrków
798 Hoffmann Jerzy, Zakopane.

(C. d. n.)

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Kącik humorystyczny:

Dziwna rzecz!...

— Jak daleko jest z Krakowa' do Lwowa?

— Podobno coś niewiele ponad czterdzieści mil...

— A Ze Lwowa do Krakowa?

— Naturalnie, że zupełnie tyle...

— To ciekawe!... Od Bożego Narodzen[ia do] Nowego Roku jest zaledwie kilka dni, [a od] Nowego Roku do Bożego Narodzenia p[rawie] cały rok!...

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył K. Zelabor, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego poety:

— en
— wo
— ot
— da
— ój
— ga
— am
— yś
— wa
— eż

Kryształówka.
Ułożył X. Y., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzy nazwisko francuskiego polityka:

```
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Stan podobny do śmierci, 3. Utwór geometryczny, 4. Szukany wyraz, 5. Część stroju kapłańskiego, 6. Rzeka w Europie, 7. Spółgłoska.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Sienkiewicza: „W pustyni i w puszczy“ (Powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 41.

Zadanie do uzupełnienia: Kos, oko, rak, Zan, Ewa, nos, iwa, oko, wąs, sęp, kot, Ito.

Zadanie na rozsypane litery: Sen mara, Bóg wiara.

Logogryf: S, Pan, Kongo, osa, e, Abo, brama, Krassin, Zator, maligna, Praga, Inn.

Zadanie do przestawienia: Dobry żart, tynfa wart.

Okienko: Sanok, nurek, kokos.

Kwadrat magiczny: Ezaw, Zola, Alba, Wawel.

Rebus: Serce uczy miłosiernego człowieka, że łzy suszyć ma nieszczęśliwym.

Zadanie do uzupełnienia:

Niech łza ziemska, chociaż szczera,
Rajskich snów nie spędza z powiek,
Płaczmy, gdy się rodzi człowiek,
A weselmy, gdy umiera.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Malicki Tarnów M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, S. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, M. Kuczyńska Warszawa, W. Witowska Warszawa, M. Lewińska Stanisławów, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, K. Bereźnicki Stanisławów, J. Sienkiewicz Warszawa, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, J. Boczarski Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków, S. Zajączkowski Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, W. Lasocki Kraków, S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, M. Gross Wadowice, S. Bielecki Przemyśl, K. Kucharski Jasło, J. Kalinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Miłówka, J. Patel-K. Dębiński Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadów, J. Nowacki Lublin, R. Cielicka Łódź, J. Martynowicz Kielce, ski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S. Sygowska Rzeszów, J. Rogoziński Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Dębska Kraków, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, K. Lipski Wiedeń, S. Krzyżanowski Częstochowa, B. Fiala Lublin. W. Michna Brody.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Wysocka Jasło (książka), 2) J. Rogoziński Biała (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.